

Daniel Wardziński: Czy Roman Brandstaetter się nawrócił i czy poznaliśmy go po owocach?

Paradoksalnie, przyjmując jednoznacznie katolickie stanowisko ze wszystkimi jego konsekwencjami, Roman Brandstaetter wcale nie postawił się w gronie tzw. twórców „udzielających odpowiedzi”. Przeciwnie. Prowokuje liczne pytania, przyciąga pokorą i jest niezwykle daleki od apodyktycznego spojrzenia kogoś, kto wie więcej – pisze Daniel Wardziński w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Brandstaetter. Powroty do źródła”.

„Literatura polska powinna być moralna, etyczna, to najwyższy nakaz chwili obecnej. Jeśli nie podniesiemy tego hasła moralności i etyki wśród ludzi, sami się zapadniemy w otchłań. Mickiewicz w liście do Kajsiewicza pisał: «Przyjdzie czas, kiedy trzeba być świętym, żeby być poetą»”.

Wywiad z Romanem Brandstaetterem „Dziennik Literacki”, 1947 r.

Roman Brandstaetter zostawił nam krótki i niemal lakoniczny opis nocy w której stał się chrześcijaninem.

Była grudniowa, wietrzna noc, jedna z owych jerozolimskich, bezsennych nocy, które spędzałem od dwóch lat w biurze Polskiej Agencji Telegraficznej, gdzie pracowałem niekiedy do świtu, przy nasłuchu radiowym [...].

Skończyłem pracę po północy. Zapaliłem papierosa. Wstałem od stołu, rozejrzałem się po pokoju i przypomniałem sobie, że nie mam w domu nic do czytania. [...] Zatrzymałem wzrok na leżącej obok jednego z biurków stercie starych tygodników. Wyciągnąłem na chybił trafił kilka numerów. Z jednego z nich wypadła dużych rozmiarów wkładka. Podniosłem ją. Była to reprodukcja rzeźby z XVII wieku Innocenza da Palermo, z kościoła San Damiano w Assyżu, przedstawiająca ukrzyżowanego Chrystusa. [...] Wyobrażała Chrystusa w chwilę po jego śmierci. Z półrozchylonych warg uszedł ostatni oddech. Kolczasta korona spoczywała na jego głowie jak gniazdo uwite z cierni. Miał oczy zamknięte, ale widział. Głowa jego wprawdzie opadła bezsilnie ku prawemu ramieniu, ale na twarzy malowało się skupione zasłuchanie we wszystko, co się wokół działo. Ten martwy Chrystus żył.

Pomyślałem: Bóg.

I, włożywszy reprodukcję do teczki, wyszedłem.

Powierzchniowa lektura tej krótkiej notatki może zostawić czytelnika w mylnym przekonaniu, że nie wydarzyło się tutaj nic ciekawego, gdy tymczasem kryjąca się za nią historia jest niezwykła. Ciekawe są

oczywiście okoliczności i konteksty, ale przede wszystkim to, kto się nawraca. Roman to przecież potomek Mordechaja Brandstaettera, wielkiego poety języka hebrajskiego, a dla utalentowanego wnuka – ukochanego dziadka, który na zawsze zaszczepił w nim miłość do Biblii. To również absolwent tarnowskiego gimnazjum kształcącego w duchu klasycznym, członek grupy poetyckiej Litart, kolega Sztaudyngera, autor napisanej w Paryżu pracy magisterskiej o Adamie Mickiewiczu która – bardzo to rzadki przypadek – przyjęta została przez Uniwersytet Jagielloński jako praca doktorska. Nawraca się nie tylko artysta, intelektualista, znacząca osobowość, ale nawraca się także Żyd, który wychowany w miłości do Prawa i Proroków, dodatkowo na nowo odkrył i dowartościował swoje żydostwo po wsłuchaniu się w Paryżu w słowa Theodora Herzla. Był to pierwszy ważny zwrot w życiu Brandstaettera.

Przeczytaj również: Miłość jak śmierć. Augustyn – Brandstaetter – Wojtyła

Ciekawe jest również to, gdzie się nawraca na chrześcijaństwo – w Palestynie, która stała się dla niego cudownym ratunkiem od brutalnej śmierci, jaka spotkała jego rodzinę w Polsce. Tej samej Palestynie, która jeszcze kilkanaście lat wcześniej była obiektem jego neofickich marzeń, gdy wrócił ze stypendium we Francji jako zapalony syjonista. Ta skłonność do doświadczenia radykalnej przemiany nasuwa wiele pytań, ale choć etap „syjonistyczny” niewątpliwie odcisnął w twórczości Brandstaettera swoje piętno, to dopiero etap „katolicki” sprawił, że jako artysta gotów był wyprzeć się wszystkiego, co stworzył dotąd i uznać, że dramat „Powrót syna marnotrawnego” (początkowo „Rembrandt”) jest pierwszym utworem, który wart jest jego autoryzacji. Najważniejsza różnica polega na tym, że owo palestyńskie nawrócenie,

w którym polski pisarz uznał Chrystusa za Mesjasza, okazało się ostatnim i było trwałe w skutkach. Pisarz był mu wierny do śmierci, a całe swoje dalsze życie podporządkował treści tego doświadczenia.

„Ja nie byłem poganinem, żeby się nawracać”

Wspomniane dwa zwroty światopoglądowe, choć radykalne, zewnętrznie miały stosunkowo łagodny przebieg. W przypadku pierwszego, paryskiego, owocował on m.in. patriotyczną afektacją, która w przypadku nocy jerozolimskiej, nazywanej przez samego autora „nocą biblijną”, zmieniła się w ten dziwny rodzaj spokoju, który emanuje z przytoczonej relacji autora. Brandstaetter nie miota się, nie manifestuje wielkiej burzy uczuć w której wykuwa się nowa postawa względem świata. Podniosły ton i wzruszenie stara się pokornie i umiejętnie kanalizować, jakby za św. Tomaszem starał się poddać emocje kierownictwu rozumu. Sprawia wrażenie człowieka, który doświadczył czegoś wielkiego, zrozumiał coś fundamentalnego, zaadaptował do tej wielkiej zmiany swoje plany (nie stroniąc od poświęceń i wyrzeczeń) i zaczął z zapałem i konsekwencją realizować swój program współpracy z Bogiem.

Oba zwroty mają dłuższą historię. Nie są jedynie nagłym „olśnieniem”, a jeśli nawet rzeczywiście dokonały się one w czasie, w konkretnym wydarzeniu, to do niego także prowadzi kręta ścieżka. Pamiętajmy, że Mordechaj Brandstaetter, przemysłowiec z Tarnowa, zwolennik haskali, „żydowskiego oświecenia”, po cichu sympatyzował również z syjonizmem. „Krań biblijny” najlepiej ukazuje wagę i piękno relacji dziadka ze swoim wnuczkiem oraz jej długofalowe skutki dla rozwoju tego drugiego. „Noc biblijna” również nie była pierwszym kontaktem autora z Chrystusem. Świadczy o tym nie tylko wczesna, przedwojenna twórczość (gdzie Jezus pojawia się zazwyczaj w charakterze

uciemnionego Żyda), ale także osobiste retrospekcje autora, o tym jak jego opiekunka, Polka, niejako w tajemnicy przed rodzicami prowadzi go do Kościoła i uczy modlitw.

Oczywiste jest, że autor, jak sam mówił, „zatopiony w słowie polskim”, silnie zintegrowany z kulturą duchową odrodzonej II RP, znakomicie wykształcony i wszechstronnie odczytany, był doskonale świadomy co oznacza i jakie konsekwencje przynosi Nowe Przymierze. Kartka z reprodukcją Innocenza da Palermo musiała wypaść ze stosu magazynów w bezsensną jerozolimską noc, aby zdołał uznać je za prawdę, a Jezusa za wyczekiwanego Mesjasza. Sam uważał, że to nie jest „nawrócenie z judaizmu na chrześcijaństwo” tylko „krok dalej” w jego dotychczasowej drodze do Boga. W jednym z wywiadów powiedział „ja nie byłem poganinem, żeby się nawracać”.

Czemu służy literatura?

Prof. Ryszard Zajączkowski, znakomity znawca twórczości autora, napisał: „Noc biblijna stanowiła dla pisarza nie tylko zwornik jakościowego skoku w pojmowaniu siebie i wizerunku własnego życia, lecz także nowy impuls światopoglądowy i twórczy”. Pisze również: „Przez chrzest dopełnił to czym zawsze żył. Stając się chrześcijaninem, wgłębił się w kulturę polską”. Niewątpliwie w powojennej twórczości autora „Kręgu biblijnego” polski patriotyzm, rozumiany przeważnie w kategoriach etycznych, szczególnie zmagają z opresją, stanie się jednym z wielu przejawów odmienionego dzieła pisarza.

Przeczytaj również: Asyż i nurt franciszkański w eseistyce Romana Brandstaettera

Olśnienie związane z nawróceniem i rozpoczęcie życia sakramentalnego sprawiają, że jego twórczość przechodzi na wyraźcie chrystocentryczne tory. Nawet gdy pisze wiersze inspirowane podróżami po krajach Morza Śródziemnego, sztuką i kulturą Greków i Rzymian, patrzy na nie w świetle Nowego Przymierza. Nawet jeśli pisze sztuki stanowiące manifestacyjny sprzeciw wobec totalitaryzmów, to rzuca w nich ewangeliczne promienie Nadziei. Nawet jeśli jego przekłady ksiąg biblijnych nie mogą ze względu na „poetyckie” tłumaczenia służyć w liturgii, to zostawiają z poczuciem, że są potrzebne i że powstały z inspiracji Ducha Świętego.

W jednym z późnych wywiadów autor „Kręgu biblijnego” mówi wprost: „chciałbym swą twórczością służyć ewangelizacji”. Współczesność odpowie, że twórczość nie powinna czemuś służyć i zapyta czy w ogóle ktoś niewierzący sięgnąłby po powieść lub poszedł na sztukę do teatru, wiedząc, że będzie ewangelizowany? Czy można pozostać wiernym ideałom artystycznym, kiedy dziełu literackiemu stawia się cel, który w najlepszym wypadku można uznać za moralny, a przez niezycieliwych mógłby być uznany za „propagandowy”? Dla wiernych to oczywiście wielki, poważny cel, ale jednak cel pozaartystyczny, który przyciąga natrętne pytania o instrumentalizację literatury. Na marginesie, możemy za symptomatyczne uznać, że właśnie ten rodzaj „instrumentalizacji” budzi sprzeciw, tak jakby wulgarna i tandetna instrumentalizacja zachodząca dzień po dniu ze znacznie niższych pobudek w ogóle nie istniała. Tak czy inaczej, powyższe pytania pozostają w mocy, a najlepszą odpowiedzią jakiej udzielił autor pozostaje jego twórczość, z tetralogią „Jezus z Nazarethu” na czele.

Nobel

We wrześniu 1987 roku prof. Józef Gierowski zabrał do Sztokholmu „Jesus von Nazareth”, niemieckie wydanie tetralogii, celem zgłoszenia go do kandydatury do Nagrody Nobla. Nie udało się tego sformalizować – 28 września 1987 w Poznaniu zmarł autor. To jeden z tych przypadków, gdy mimo toczących się dyskusji o adekwatności nagród literackich, można szczerze żałować, że do tego nie doszło. Może potwierdziłoby to status cyklu jako najlepszego epickiego ujęcia życia Jezusa Chrystusa, zarazem wspaniale wpisującego się w polską tradycję literacką i kulturową, a przez to ukazało zebrane w Polsce dorodne owoce wyrosłe z ziaren Jerozolimy i Rzymu.

Może nagroda zwróciłaby większą uwagę na to, dlaczego dramaty Brandstaettera z lat 50. z powodzeniem wystawiano na scenach w Austrii, Niemczech czy Francji, bo chyba nie dlatego, że instrumentalizowały teatr i stosowały prozelityczną dydaktykę? Gdy w następstwie antytotitarnego wydzwięku jego głośnej sztuki „Milczenie” w wydawnictwie PAX skonfiskowano mu kolejny tom wierszy, w Wiedniu odbyła się głośna premiera tej samej sztuki, a w liście do Jana Wiktora autor pisze, że „kurtyna siedem razy szła w górę”. „Na Zachodzie był postrzegany i ceniony zwłaszcza jako poeta chrześcijański, a przez to twórca dzieła o wymiarze uniwersalnym, które odznacza się głębią europejskiego humanizmu” – pisze prof. Zajączkowski.

Być może więcej uwagi zyskałyby też przekłady ksiąg biblijnych, Ewangelii, Psalmów, Listów Jana czy Apokalipsy. Ponownie Zajączkowski: „Brandstaetter podjął się przygotowania przekładów dokonywanych dotąd zwykle – jak uważał – przez ludzi pozbawionych

talentu literackiego i artystycznego poczucia piękna. Bolał też nad tym, że Biblia przez Polaków jest słabo znana, a ruch biblijny nad Wisłą stosunkowo słaby i wtórny”. Jeśli nawet ocena była surowa, to niezwykle kompetencje (hebrajskiego nauczył się w domu, greki w gimnazjum w Tarnowie, a Biblia, poezja i sztuka stały się całym jego życiem) sprawiają, że jest to głos życzliwego i szczerego krytyka, którego warto słuchać ze szczególną uwagą.

„Jezus z Nazarethu” jako owoc nawrócenia

„Jezus z Nazarethu” jest najlepszym komentarzem do nawrócenia Romana Brandstaettera i jego artystycznych konsekwencji. To powieść pisana z miłością. Z jednej strony autor zachował wielki szacunek do przekazu ewangelicznego, odpowiedzialne podejście do treści, pewną ostrożność dyktowaną ortodoksją, a z drugiej szlachetną szczerą i poważną postawę (względem odbiorcy i tematu), która potrafi zbudować z czytelnikiem relację zaufania i duchowego porozumienia. Tak silnie narzucająca się obawa „instrumentalizacji”, znika po chwili lektury, gdy uważny czytelnik zaczyna wyczuwać szczerą intencję. Jedyne o czym można mówić to samoinstrumentalizacja autora, który niejako oddaje swoje zdolności w służbę Bogu i ludziom, na dodatek nie tracąc nic ze swojego talentu literackiego i artystycznego wyczucia. Przeciwnie – wielokrotnie pokazuje, że to wymagające, żmudne i trochę niewdzięczne zadanie, jest właśnie wyzwaniem godnym prawdziwego artysty. Pisarz niemal jak budowniczowie katedr podjął się zadania ponad ludzkie możliwości i z Bożą pomocą stworzył coś pięknego i monumentalnego. Są takie momenty tej opowieści na które patrzy się jak na pojedynczy fresk, sklepienie czy zdobienie, piękne samo w sobie, ale służące wielkiej sprawie całości.

„Brandstaetter nie jest natrętnym moralistą, umie zachować dystans wobec spraw ludzkich, nikogo nie potępia [...]” – pisze Ryszard Zajączkowski. Ale to nie wszystko. On nie tylko nie potępia, ale broni przed potępianiem. Imponuje jego delikatność w opisie oraz sposób w jaki potrafi przedstawiać problemy swoich postaci, nadając im wymiar egzystencjalny, czyniąc z nich uniwersalne ludzkie przypadki w których można przejrzeć się jak w lustrze. Nie chodzi jedynie o wybitnie nakreślone postaci św. Józefa, św. Piotra (a raczej Symeona ben Jona) czy Jana Chrzciciela (Johannana ben Zebadia), ale również Kajfasza, Judasza Heroda, Piłata czy nawet anonimowego żołnierza biczącego Chrystusa. W postaci każdego z nich ukazuje jak ponętne, uzależniające i „łatwe” jest zło dla każdego z nas. Nie usprawiedliwia, ale też nie potępia. Nie czuje się lepszy.

Paradoksalnie, przyjmując jednoznacznie katolickie stanowisko ze wszystkimi jego konsekwencjami, Roman Brandstaetter wcale nie postawił się w gronie tzw. twórców „udzielających odpowiedzi”. Przeciwnie. Prowokuje liczne pytania, przyciąga pokorą i jest niezwykle daleki od apodyktycznego spojrzenia kogoś, kto wie więcej. Dodajmy, że w kwestii kultury i języka Galilei czasów Chrystusa, geografii i etnografii Palestyny, obyczajów i świąt żydowskich, ale też historii teologii żydowskiej, literatury midraszowej czy zwojów z Qumran wie naprawdę dużo i bardzo wiele z tego, czego potrafi nauczyć, rzuca nowe, ożywcze światło na dobrze już znane ustępy Ewangelii. Owszem, Jezus w jego powieści jest Bogiem, a wiele poświęconych mu fragmentów brzmi jak poetycka próba wykładu dogmatu o podwójnej naturze z Soboru w Chalcedonie, ale zarazem życie pozostałych, otaczających Chrystusa bohaterów, pokazuje, że nic tutaj nie jest proste

ani do zrozumienia, ani do przyjęcia. Poświadczą to dla nas Ci, którzy widzieli go na górze Tabor, na jeziorze Genezaret i którzy włożyli palce w jego rany.

Przeczytaj również: Teatr sumienia – problematyka egzystencjalna dramatów Romana Brandstaettera

Warto też wspomnieć, że jest to bardzo efektowna i dość przystępna lektura, szczególnie czytana w małych fragmentach, systematycznie, codziennie. Imponuje jej epicki rozmach, wartka i pomysłowo prowadzona narracja oraz poruszające, niezapomniane sceny. Bo czy da się zapomnieć ten moment w którym Judasz „zrozumiał kto z apostołów jest Szatanem”? Moment w którym Józef zapłakał po spotkaniu z Zachariaszem? Albo ten, w którym spojrzenia Jezusa i biczącego go żołnierza spotkały się? To wielka sztuka przekuć tak zwany „neoficki zapal” w obrazy o takiej sile oddziaływania.

Odkrywanie Brandstaettera i pozytywny obraz neofity

Literaturoznawcy twierdzą, że Brandstaetter „nigdy nie miał swojego czasu”. Nawet kiedy łączny nakład jego książek (34 tytuły!) przekroczył milion egzemplarzy, to przez wiele lat PRL jego publikacje były trudno dostępne i mało komentowane. Dziś wydaje się, że jeśli Brandstaetter kogoś przekonuje, to głównie już przekonanych. Szkoda, bo „Jezus z Nazarethu” to książka budząca szacunek dla wiary prostych ludzi, dobrze kreśląca skalę wielkości omawianych spraw, bardzo pouczająca i uniwersalna w przekazie humanistycznym, a więc ciekawa poznawczo także dla poszukujących, a może nawet dla uprzedzonych.

Roman Brandstaetter pozostaje symbolem nawrócenia i towarzyszem w tym procesie dla kolejnych pokoleń katechumenów i synów marnotrawnych. Jak wspomnieliśmy, pisarz nie lubił nawet samego określenia „nawrócenie”, ale jego osobista historia i wyrażone w jej następstwie artystyczne świadectwo, mają niewątpliwą zdolność do „towarzyszenia” ludziom wracającym do wiary, poszukującym, zagubionym... Sam Brandstaetter pozostaje zaś jednym z najbardziej pozytywnych (choć nietypowych) przykładów neofity w polskiej kulturze. Może łatwiej o „chłodną głowę”, gdy ktoś nawraca się w wieku dojrzałym, jako dorosły mężczyzna, mający już na koncie duże transformacyjne wydarzenia, a na dodatek człowiek wierzący przez całe swoje życie... Nic w tej historii nie ma ze stereotypowego neofity spalane go ogniem swojej własnej wiary. Ma się wrażenie, że jej ogień został poskromiony i zaprzężony do metodycznej pracy. Jakie są jej owoce?

W 1973 roku, w wywiadzie dla periodyku „Życie i Myśl” Brandstaetter powiedział: „Powiem Panu, jaki był mój największy sukces literacki. Otóż opowiadał mi raz pewien ksiądz, że spowiadał się u niego człowiek, który się nawrócił po przeczytaniu Pieśni o moim Chrystusie. Ta wiadomość była dla mnie cenniejsza od tysiąca pochwalnych recenzji”. Obcowanie z jego piarstwem utwierdza w przekonaniu, że ta postawa jest szczerą i że właśnie ona stoi u podstaw artystycznej wartości „Jezusa z Nazarethu” i innych dzieł autora.

Okoliczności znów nie są dla Brandstaettera łatwe, ale można odnieść wrażenie, że czas podkreśla szlachetność kruszcu, z którego stworzoną tę imponującą wieżę z książek. Być może 120 lat od narodzin i niemal 40 lat od śmierci autora to jeszcze za mało, żeby w pełni dostrzec

wartość tego dzieła? Paradoksalnie (to nawrócenie pełne jest paradoksów), trudno jest ją przegapić, gdy spojrzysz jedynie na... artystyczną stronę przedsięwzięcia. Bez uprzedzeń i obaw. Wtedy „Jezus z Nazarethu” może okazać się „perłą w koronie” niezwyklej, obszernej i bardzo ciekawej twórczości Romana Brandstaettera, która zasługuje na ponowne odczytanie.

Daniel Wardziński

Fot. zyance, CC BY-SA 2.5